

Stanisław Mikke

Za tymi, którzy odeszli

Palestra 50/1-2(565-566), 118-120

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Za tymi, którzy odeszli

To były czasy głębokiego komunizmu, czas codziennej niepewności. 24 grudnia, którego roku, nie pamiętam. Byłem dzieckiem, do którego to i owo jednak docierało, zrywając ciepło sielsko-anielskiego dzieciństwa. Rodzice przygotowywali kolację wigilijną. Ja wraz z siostrą w dużym pokoju kończyłem ubieranie choinki; pamięć notuje i takie szczegóły. Radio „Telefunken” z zielonym, migotającym okiem, nastawione na fale radiostacji Wolnej Europy (wiedziałem, że to była zakazana stacja) było ściszone. Pod nami mieszkał antypatyczny funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa, słabo piśmienny, mówiono, że ludziom nie szkodzi, ale ostrożności wtedy nie było dość. Gmach złowrogięgo Urzędu, w którym podczas wojny, o czym wtedy wspomniano tylko po cichu, mieściło się Gestapo, mieliśmy zresztą przed oknami. Dobrze pamiętam, że ten budynek, dziś chylący się w tamtym mieście ku upadkowi, wzbudzał wśród dorosłych lęk. Odczuwany także i przeze mnie, ilekroć, to znaczy codziennie, przechodziłem wzdłuż wysokiego ogrodzenia.

Ale owego wigilijnego dnia zapominało się o trudnym sąsiedztwie. W pewnej chwili, pośród pisków i trzasków zagłuszających radiowy program, usłyszałem kolędę „Lulajże, Jezuniu”. To było coś tak niesłychanego, że pobiegłem do kuchni i zawołałem: – W radiu kolędy! Chodźcie, szybko! I ... rozplakałem się ze wzruszenia.

Minęło wiele lat, minęły dziesięciolecia. Poznałem tego, który był Głosem Wolnej Polski. W liście do Waszyngtonu napisałem o tym, jednym z pierwszych zapamiętań. Odpisał pięknymi słowami. Wróciliśmy do wspomnienia o kolędach na falach Radia Wolna Europa podczas ostatniej już rozmowy 30 listopada ubiegłego roku. Powiedział wtedy, że osobiście przywiązywał wielkie znaczenie do nadawania kolęd, nawet kosztem programów informacyjnych. Kolędy bowiem zawsze traktował jako symbol nadziei.

Jan Nowak-Jeziorański podtrzymywał tę nadzieję, która – cokolwiek by mówić na ten temat – wciąż, nawet w najtrudniejszych latach, tliła się w umysłach niezniewolonych. Być może powtarzał, jak inni: *contra spem spero* – wbrew nadziei, mam nadzieję.

Mówili, mówią, że był człowiekiem despotycznym, nie tolerującym sprzeciwu, trudnym do zniesienia we współpracy. A zatem o innej cesze Jego charakteru. W roku 1997 napisał z Waszyngtonu po przeczytaniu mojej kolejnej relacji katyńskiej: *Jak dobrze się stało, że Pan utrwalił swoje doświadczenia (...) „Palestra” jest świetnie redagowanym pismem, ale żałuję, że Pana raport ukazał się w piśmie specjalistycznym, które z natury rzeczy ma ograniczony krąg czytelników. Czy nie warto w połączeniu z poprzednimi reportażami zrobić z tego książkę? (...)*. Do kogoż zatem, jeśli nie do Niego właśnie miałem się zwrócić z prośbą o napisanie wstępu do książki, którą przygotowałem do druku rok później. Odparł, że uczyni to oczywiście z największą chęcią. Ma bowiem do sprawy Katynia stosunek bardzo osobisty. Wszyscy Jego koledzy z Kampanii Wrześniowej (którzy nie dostali się wcześniej, tak jak On, do niewoli niemieckiej), wpadli w ręce sowieckie i znaleźli się na liście Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Ale mimo to uważa, że ten temat powinien mieć wprowadzenie kogoś dużo ważniejszego od Niego. I taką odpowiednią osobę, profesora Zbigniewa Brzezińskiego, wskazał.

We wspomnianym liście z 1997 roku Nowak-Jeziorański napisał zdania, które warto dziś zwłaszcza przytoczyć na dowód Jego przenikliwości i troski politycznej: *Zaniepokoiły mnie spostrzeżenia Pana, niejako na marginesie, odnoszące się do Ukraińców na wschodniej polaci kraju. Bardzo się boję, że w lutowych wyborach do władzy i do głosu dojdzie ta część społeczeństwa, która uległa sowietyzacji.*

Już po śmierci został opublikowany w „Rzeczpospolitej” z 29–30 stycznia jeden z ostatnich wywiadów, jakich udzielił. Powiedział w nim m.in.: „Tak nagle odzyskanie suwerenności i demokracji zaskoczyły mnie. Szczerze mówiąc nie przypuszczałem, nawet w 1988 roku, że następny rok będziemy witali w wolnej, suwerennej i demokratycznej Polsce. Wiedziałem, że to się stanie. Ale nie za mojego życia”.

– Nie za naszego życia – odpowiedziałem właśnie w 1988 roku adwokatowi Krzysztofowi Piesiewiczowi. Przechodziliśmy obok pomnika zwanego pomnikiem utrwalaczy władzy ludowej, który zbudowano kilka lat wcześniej na Osi Saskiej, przed Pałacem Lubomirskich, tuż przed oknami mego mieszkania. Dzisiejszy senator patrząc wtedy na monstrualne postaci z ciężkiego socrealizmu powiedział: – Będziemy to burzyć. To i inne.

Gdy wyraziłem nie wątpliwość, a przekonanie, że to już nie nasze pokolenie, po dłuższej chwili – pamiętam to ociąganie z przyznaniem racji – z wielką niechęcią zgodził się jednak z moim pesymizmem.

Upłynęło bardzo niewiele czasu, minęło zaledwie kilkanaście miesięcy. Wyszliśmy obaj z Sądów na Lesznie, jak się wówczas powszechnie jeszcze mówiło o tamtym miejscu. Nie mówiąc w jakim celu, skłoniłem Krzysztofa Piesiewicza do spaceru w kierunku mego domu. Rano, upalnego, słonecznego dnia widziałem już przy-

gotowania do demontażu konstrukcji rzadkiej szpetoty, której powstaniu patronował niejaki Albin Siwak, sekretarz Komitetu Centralnego Partii. Gdy podeszliśmy, wielka rozbiórka za pomocą dźwigów i grubych lin przypominała – co Piesiewicz zauważył – obrazy Felliniego.

Nie są niczym oryginalnym konstatacje, że tego wszystkiego, co przyniosło ostatnich kilkanaście lat nie sposób było przewidzieć. Te zadziwienia, u każdego nieco odmienne, wpisane zostały w nasze dzisiejsze postrzeganie rzeczywistości. Od pewnego jednak czasu przyjmują one odmienną postać. I coraz częściej pojawiają się pytania, jak do takich czy innych rzeczy mogło dojść? Żyjemy bowiem w takim czasie, w którym każdego dnia możemy spodziewać się kolejnego skandalu czy afery niemieszczącej się w głowie. I zazwyczaj otwierając gazetę o poranku „nie spotyka nas zawód”. Jest znów nowe, skandaliczne, jeśli nie na najwyższych, to na górnych półkach. A zdarza się, że rzecz wstrząsa społeczną rzeczywistością. W takich momentach spoglądamy wokół, oglądamy się za siebie, szukając tych mężów niezłomnych – Herberta, Herlinga-Grudzińskiego, Nowaka-Jeziorańskiego. Te od-ruchy stanowią miarę Ich niezastąpionej wielkości.